NUMER 12. DNIA 23-go MARCA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

Bogarodzica...

GŁOS

Nigdym ja ciebie, ludu, nie rzuciła,
Nigdym ci mego nie odjęła lica,
Ja — po dawnemu — moc twoja i siła.

CHÓR

...Bogarodzica!...

GŁOS

Rzeszom ja twoim przez wieki hetmanię,
Jako w zaranie.

Przed tobą idę i przy tobie stoję,
Kiedy się zrywasz z piór orlich szelestem —
A kiedy ducha bierzesz na się zbroję,
Tarczą ci jestem.
I w klęsce nawet w blask odziewam złoty
Poległe roty.

Sztandar ja niosę przed tobą rozwity,
Iżby go oczy gasnące widziały,
A iżby znak moj powiewał w błękity,
Jak za dni chwały.

Sztandar ja niosę, a nie puszczam z ręki
Mimo wiek męki.

A choć go dzisiaj wiatr nie żenie chyży,
Co hufce niegdyś porywał na boje,
Choć poczerniały u mogił i krzyży
Proporce moje,
Lecz żołnierzowi sztandar i zwinięty
Drogi a święty.

Żołnierze sąście zawołania mego,
I mej chorągwi towarzysze wierne,
A po przez wieki rubieży mych strzegą
Duchy pancerne.
Żołnierze sąście, sąście kość orłowa,
Rycerzy słowa.

A ja was wiodę i stawiam, gdzie trwoga,
Przez sioła, grody, i przez ziemie rolne.
I tak sprawuję zdane mi przez Boga
Hetmaństwo polne.
Od mej buławy idzie rozkazanie
Szumem po łanie.

A ja was wiodę, niewiasty i męże,
Na mury fortec i za twierdzy bramy.
Bo choć dziś insze bronie i oręże,
Lecz bój — ten samy.
A przebojowan musi być i będzie,
W mojej komendzie.

A wy się czujcie, nie jak luza marna,
Co krzykiem trwogi nikczemnej wybucha,
Lecz jako rota ćwiczona i karna,
Na żołdzie ducha,
A jak rycerstwo, któremu hetmani
Niebieska Pani.

Jak odnowione jest zaprzysiężenie
Hetmaństwa mego i rycerskiej wiary,
A wy zatknijcie nad mroki i cienie
Światła sztandary.
Boście są scheda moja i dzielnica!...

CHÓR

...Bogarodzica! Dziewica!...

Marja Konopnicka.

PRZEPRACOWANI.

Nie pracujemy porządnie, — niepróżnujące uprawiamy próżnowanie. Chłopczyk w mundurku,—tablica niezapisana przez życie, ma już swoją politykę, racje i sposoby, jak obejść obowiązek, jak nie spełnić powinności, jak się wymijać i jak wywijać, byle zachować pozory, że się mozoli i zamęcza. Ach, pedagogja, wcale nie martwa, oschła, urzędowa, ale wnikająca w duszę, w serca, zna tę całą gamę niechęci, apatji, skostniałości, pierzchającą od czasu do czasu przed katalogiem i dyscypliną domową. Dziecko wchłania mimowiednie otaczającą je atmosferę, bierze w piersi, w mózg, malarję nieczynności: wyrasta z nieplennej ziemi nieplenny kłos. Przekleństwo tkwi w tej ociężałości, nie mającej sumienia i litości nad własnym narodem. Kraj, — stoi niby warsztat potężny, — w którym garstka ludzi naprawdę, poważnie, z poświęceniem i zaparciem wysila się, oddaje daninę krwi, — reszta bawi się w robotę, udaje zajęcie, — w rzeczywistości święci arlekinadę i maskaradę życiową... Dużo rąk do płacy, mało do pracy!... Polak, zwłaszcza Galicjanin, uważa przeważnie pracę za rzecz męczącą, narzuconą, — nie płynącą z poczucia i odczucia zagadnień doczesnych i psychicznych potrzeb, — ona jest dla niego kamieniem, — nie ulgą, nie orzeźwiającą rosą i siłą, podtrzymującą motory bytu. Z musu, z konieczności zarobkowania siedzi się w biurach, siedzi się za kantorem, czy ladą sklepową, — z apatją spycha się dzień po dniu na równi pochyłej czasu, — aby nie zginąć, aby wegetować, — a nie piąć się ku wyżynom, coraz dalej, coraz dalej. Kupiec nie rozumie i zrozumieć nie może poezji, tkwiącej w jego prozaicznem zajęciu, — w tej atmosferze groszowej, drobnostkowej, przykutej do kasy, łokcia, wagi lub półek; on wzrokiem nie sięga poza cztery ściany kramu, nie myśli, nie pulsuje w nim szerszy poryw i szersze chcenie. Przeciwnie, na zachodzie stoi miniaturowa firma, jak pikieta narodowego bogactwa, jej właściciel ogarnia dalszy widnokręg, poza mechaniczną czynnością sprzedawania i kupowania tworzy, marzy o przejściu różnych szczebli aż na ten szczyt, gdzie się roztacza urok hurtownego, ogromnego zakładu, z jego szalonem życiem, wirem i blaskiem majątku. Tak wzrastają, krzepią się, wzmacniają pojedyncze nerwy, — a wraz z nimi organizm państwowy i ekonomiczny rozwój społeczeństwa. Tu, kramarz nie chce wyjść z kramu, tandeciarz z tandety, — bo myślą rękami jedynie, nie mózgiem... Ospałość, zamiłowanie wywczasów, — wieczne *otia cornitiensia*, ogarniają warstwy wszystkie od dołu do góry, — od korzenia drzewa do czuba... Robotnik kwasi

się, narzeka, biada, rozwija się istotnie w fatalnych warunkach socjalnych, często przymiera z głodu i chłodu, — nie zapomina jednak o tradycyi *blaumontagów,* — dodaje sobie samowolnie do niedzieli poniedziałek i traci nieraz ciężko wyduszony, nędzny zarobek w szynkach, w kieliszkach jadu alkoholicznego. Rzemieślnicy mają ustawicznie przysłowiowe „ciężkie czasy“, często jednak niedotrzymują terminu zamówień... Nasi profesorowie narzekają jeszcze ciągle na przeciążenie pracą, — chociaż na dobę mają zazwyczaj trzy godziny obowiązkowych zatrudnień... Ale tak być nie powinno, tak zostać dalej nie może, tak karmić społeczeństwo suggestją, że się jest w jarzmie i dłonie ma ścierpnięte od trudu, niepodobna... To czysta ułuda i wpieranie chorobliwe fałszów w siebie i w drugich. Już tak przyzwyczailiśmy się do urojonych deklamacyj, że oczy zamknęliśmy na rzeczywistość... Dość zestawić cyfrę artykułów, rozpraw, intellektu duchowego, n. p. w Niemczech, a u nas, uwzględniając nawet stosunki niesprzyjające rozwojowi polskiej wiedzy i polskiego pisarstwa. Tam co drugi pedagog jest autorem, zamieszcza artykuliki z zawodu swego, występuje z radami, idzie przed forum publiczne, na ten powszechny wiec literacki, a z scierań się, krzyżowań i gromadzeń różnych wskazówek urastają prądy, które przyspieszają rozwiązanie bieżących kwestyj. Grafomanji, hiperprodukcji nikt się nie boi, bo ta forma wyrażania swoich uczuć i zapatrywań, choćby groziła literackim zalewem, jest najszlachetniejszą i najwykwintniejszą enuncjacją duszy, najwspanialszą rozrywką, a przynajmniej stokroć wspanialszą od utracjuszostwa karcianego i innych upustów ludzkiej namiętności. Oby wybiła chwila, w którejby każdy człowiek inteligentniejszy, gorętszy, noszący w piersi pragnienia i pożądania, zabierał głos szczerze w starciach opinij, dorzucił bodaj ziarenko do potężnej urny, przez którą przepływa ogromna rzeka społecznego i narodowego życia!... Tak dziś nie jest. Nawet na ogół biorąc najwyższe widome naukowe instytucye, — uniwersytety, — nie dają tego, co dać powinny... Nasi ludzie wybitni działają mniej, niżby mogli, wśród nędznych nawet warunków księgarskich, materjalnych i ciężkiego bytu. Trzeba sobie to raz powiedzieć otwarcie i bezwzględnie. Jeszcze w epoce pięcia się do góry znajdzie się i animusz i sposobność na wszystko, z chwilą usadowienia się na wierzchołku, — kwietyzm i wygoda przeważa nad dobrem publicznem obowiązkowością, odczuciem własnej godności i długu zaciągniętego wobec narodu. A przecież mamy sto razy więcej inicjatywy, rzutkości, inteligencji i wrodzonych zdolności od grzebaczy Niemców, — od tych analityków pyłków i drobiazgów!... Prześcigamy ich błyskotliwością i rozległością syntetycznego talentu, — umiejętnością obejmowania wielkich horyzontów i niepospolitym sprytem orjentacyjnym. Z tymi darami i skarbami natury, z tą możnością zbudowania własnych wspaniałych rzeczy, — idziemy do nich w służbę, zaciągamy pożyczki, naśladujemy ich, przetrawiamy ustalone u nich metody, często w spóźnionych terminach. Artyści, sięgamy po robotę do robotników; twórcy bierni, szukamy oparcia u mrówczych rzemieślników.... Niechęć do pracy, do systematycznego, spokojnego wytrwania w niej, zadaje nam klęskę po klęsce, — demoralizuje społeczeństwo, czyni je „pawiem i papugą narodów“, mnoży dziesiątki deklamatorów, budujących zamki na lodzie i zatrważająco hamujących postęp nieszczęśliwej ziemi... I to jest także katastrofą i zgrozą życiową, — raczej tragicznością naszą, że się zapalamy zawcześnie i gaśniemy zawcześnie, — że słomiany ogień gore już w piersiach dziecka — a stygnie u młodzieńca lub dziewczyny w kwiecie wieku. Uczeni polscy zaczynają działalność bardzo często zawcześnie, w półdojrzałości jeszcze, a kończą ją w pełni, a nawet przed pełnią sił, gdy Niemiec lub Francuz wchodzi dopiero na poziom potencji i wielkich rozmachów. Ztąd młodzi starcy, melancholicy, mizantropi, — wystudzeni, wygaszeni, — nie Olimpijczycy, pracujący do ostatniego tchu, aż słońce życia zajdzie i ostatni wieczór oświeci ich porywy, ich pragnienia do rozwiązania zagadnień, tłukących się po zakątkach stygnącego mózgu. Bodaj się już raz w legendę zamieniła owa formułka o nieproduktywności słowiańskiej, — nieproduktywności polskiej! Praca na serjo, — nie na żarty, jest walnym środkiem odrodzenia się. Liczmy, jak żydzi, spędzajmy dzień, jak Niemcy! Rozkosz pracy, jej świętość pojmowali najwybitniejsi ludzie. Aleksander Dumas przepraszał jednego z przyjaciół za zbyt długi list, gdyż na krótki — jak się wyrażał — nie ma czasu... Darwin pisał do Foxa (autobjografja w tłumaczeniu Nusbauma) z prośbą o pewną przysługę. „Ponieważ wiem, że jesteś bar-

dzo zajęty — oto jego słowa — i masz wiele do roboty, żywię niepłonną nadzieję, iż uczynisz, czego mi potrzeba, albowiem nie mogę się spodziewać, abym wskórał co u człowieka, nie mającego zajęcia...“ Iluż zaś u nas wałęsa się ludzi bez zajęć, dyrektorów powietrza, wszędobylskich, pędziwiatrów, wyrastających, gdzie ich nie posiał!... Niebieskich ptaków mnóstwo na okół, co w rzeczywistości nie sieją, nie orzą, — a jakoś nie giną... Typ polskiego obibruka utarł się za granicą, w Wiedniu, w Paryżu, w Rzymie... Żadna nacja nie dostarcza ich tylu, wykolejonych, wydziedziczonych, nie wiedzących, czego chcą, co robią, dokąd podążą. Zapolska w powieści jednostronnej zresztą i w jednostronności krzywdzącej, „Zaszumi las“, odmalowała figury „chodzików“ z paryskiej ulicy Glaciery, te same jednak „chodziki“ kręcą się nad Dunajem, nad Tybrem i w innych zakątkach świata. Zło rodzi zło i wypaczenie moralnych pojęć. Ot, z grzechu próżniactwa zrodził się drugi, przesadnej gościnności. Polak uważa przymiot gościnności za koronę zalet swoich, — gdy tymczasem ta gościnność, pod hasłem próżniactwa poczęta, a kończąca się dewizą: „zastaw się, a postaw się“ — prowadzi wprost do ruiny i jest jednym z objawów wstrętu do systematycznej z dnia na dzień roboty. Wyszukujemy sobie tedy ciągłe wizyty, dla zapychania „dziury czasu“, fetujemy się wzajemnie i uważamy za formę kultury to, co jest najbanalniejszą pozostałością barbarzyństwa i pierwotnych socjalnych zwyczajów. Znajdują się także inne sposoby zatłuczenia godzin: handelki... Kwitną one z swą obrzydliwą, przegnitą, filisterską atmosferą, — truciciele zdrowia, inteligencji i rozumu... Wśród czadów tytoniu stoją martwe, bezmyślne postacie, zapatrzone w kufel, jakby się siliły nad rozwiązaniem ważnych problematów świata. Marnujemy czas, bawimy się w panów, bo staroszlachecka, anarchiczna kultura przeciska się w dusze nasze, wyrządza w nich spustoszenia i prowadzi na manowce, na których zgubiła naród, co nie chciał na serjo życia pojmować. Od spodu do wierzchu trzeba poprawy.

Kiedy nastąpi, kiedy przyjdzie odkupienie i opamiętanie?...

Ernest Łuniński.

OBROŃCA LWOWA.

(W DWUSETNĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI).

Dnia 3 kwietnia br. przypada dwusetna rocznica śmierci Stanisława Jabłonowskiego, kasztelana krakowskiego i hetmana wielkiego koronnego. Pamiątka to dla Lwowa wielka, gdyż człowiek, który dnia tego, w r. 1702 umarł, dzieckiem był prawie naszego miasta, jego obrońcą, ostatnim ze skrzydlatych husarzy, o których legendarna tylko pamięć została i dziwy czynów przemożnych *).

Na posiedzeniu z ubiegłego tygodnia uchwalił magistrat lwowski dzień tej rocznicy uczcić nabożeństwem żałobnem, wspomnieniem, a przedewszystkiem uchwalił przystąpić niezwłocznie do restauracji pomnika Jabłonowskiego, marniejącego na wałach hetmańskich.

Dobrze to bardzo, że reprezentacja miejska wspomni wielkiego hetmana, dobrze, że Lwów nowożytny, nerwowy bodaj na chwilę cofnie się w przeszłość, poduma o tem, co niegdyś było, nicią tradycji sprzęgnie czasy dawne z przyszłością.

Był hetman Jabłonowski ostatnim zwycięzcą, który bohaterskiemu miastu naszemu mrok opromienił upadku, dał mu chwilę złudzenia, że

*) Cały życiorys hetmana Jabłonowskiego streszcza się w następującym lapidarnym napisie na lwowskim pomniku: „Walczył pod Beresteczkiem, Batowem, Baworowem, Kamieńcem, Humaniem, Krakowem, Jarosławiem, Gołębiem, Pragą, Kulikowem, Sandomierzem, Toruniem, w Kurlandji, Holsztynie, pod Cudnowem, Chmielnikiem, Lachowicami, na Ukrainie, pod Buczaczem, Komarnem, Kałuszem, Chocimem, Złoczowem, Trembowlą, Żurawnem, Wiedniem i Parkanami. — Dowodził na Wołoszczyźnie, Bukowinie, pod Kamieńcem, Chwastowem, Podhajcami; Lwów zwycięstwem obronił od Turków i Tatarów. Wdzięczni mieszczanie Lwowa pomnik mu ten wystawili, któren w r. 1859 odnowiony został“.

bram jego wrogów nie dojrzy potęga, że noga zdobywcy nigdy świętych murów Lwowa nie skala.

Było to w r. 1695. Echa odsieczy wiedeńskiej żywą dumą brzmiały jeszcze po kraju, a na wieżach Kamieńca półksiężyc błyszczał, ostatni bój wrzał z Turcją, ostatnie najkrwawsze wysiłki.

W tem, jakoś z początkiem lutego, rozległ się od strony Ukrainy krwawy tętent hordy tatarskiej. Łuny świeciły po nocach, wieść szła ponura coraz bliżej, aż w murach się lwowskich grozą rozległa i przestrachem. Po tylu burzach, co przeszły już nad Lwowem, po pożodze i mordach wszystkich poprzednich oblężeń, klęskach moru i głodu, miasto leżało prawie bezbronne. Mury i wały zrujnowane, upadek wszędy, nawet dawny blask i duma znikły z czoła mieszczaństwa.

Ale duch rycerski odżył na chwilę, a oczy wszystkich i uszy zwracały się w strony gliniańskiego gościńca, dzisiejszej rogatki łyczakowskiej, gdzie spodziewano się dojrzeć pierwszą pożogę, skąd szedł szlak krwawy dotychczasowych zagonów. Hetman Jabłonowski, który mieszkał wtedy we Lwowie (w swoim pałacu, tam, gdzie dziś ogród Jabłonowskich i koszary), objął naczelne dowództwo nad czterotysięcznem, z trudem zebranem wojskiem.

Tymczasem Tatarzy, których około 40 tysięcy liczono, nie poszli szlakiem utartym, lecz omijając gliniańskie przedmieście, przez zamarzłe bagniska, od Zboisk rzucili się na przedmieście krakowskie.

Na prędce więc hetman swe siły rozstawił w okolicach kościoła św. Marcina i „murowanego mostu", szeroką linją, w kotlinie, między Wysokim Zamkiem z jednej, a górą hyclowską z drugiej strony.

Zawitał mroźny dzień 11 lutego. Już o godzinie 8 z rana uderzyła przednia straż tatarska na pułki hetmańskie: zawrzał bój krwawy, ale po trzech godzinach skłębiło się wszystko w bezładzie i sam hetman cofać się musiał w stronę dzisiejszej ulicy Zamkowej, aż do kościoła św. Kazimierza (dziś sióstr Miłosierdzia). Na stokach Sieniawszczyzny zabiegł mu drogę z boku, od strony kościółka św. Wojciecha oddział tatarski, a Jabłonowski, z przodu i z boku atakowany, począł się cofać na lewo, w stronę kościoła Marji Śnieżnej, ku murom miejskim. Tatarzy za nim. Na placu krakowskim, tuż przy samej bramie krakowkiej, wywiązała się krwawa i mordercza walka. Niebezpieczeństwo było tem większe, że brama była otwarta i zapchana ludnością, szukającą ocalenia w murach miejskich.

Z baszt miejskich i wałów sypnął się ogień działowy i ręczny, którym kierował ławnik i poczmistrz miejski, Zywert, a na placu, przed kościołem Marji Śnieżnej, huczało prawdziwe piekło. Obok zastępów hetmana Jabłonowskiego, walczyli mieszczanie, nawet i chłopi z dzidami i cepami, a wśród wrzawy wojennej i piekielnych okrzyków, wśród zamieci śnieżnej zapadł mrok wreszcie.

Była godzina czwarta popołudniu, kiedy Tatarzy poczęli się cofać. Nastała noc i cisza, na drugi dzień Tatarów już nie było pod Lwowem, a tylko ich trupy zasiały gęsto plac przed kościołem, a tylko ich twarze, kurczem konania skrzywione, świadczyły o walce przebytej.

Ostatni to raz Lwów przetrwał zwycięsko oblężenie. W kilka lat później, zdobyły go zastępy Karola XII., prysł urok niezwyciężoności i rozpoczął się straszny upadek.

Hetman Jabłonowski nie doczekał już tych chwil strasznych, a owszem u schyłku życia zabłysnął przed Lwowem całym blaskiem potęgi i świetności rodu swojego, gdy w pałacu na Jabłonowszczyźnie z niesłychanym przepychem i okazałością ugaszczał króla Augusta II.

Dnia 3. kwietnia 1702 r. zmarł wreszcie we Lwowie, a jako dobrodziej Jezuitów leży w ich kościele pochowany. Zwłoki jego wystawione były przez sześć tygodni w jezuickiej auli szkolnej, co dnia odprawiano tam nabożeństwa, sam zaś obchód pogrzebowy, dwa dni trwający, odprawił arcybiskup lwowski Zieliński, w towarzystwie unickiego biskupa Szumlańskiego i Franciszkanina — biskupa Bakowskiego. Katafalk sterczał wysoko w górę, oparty na sześciu słupach, z rynsztunku wojennego ułożonych.

W dowód wdzięczności dla hetmana rycerskiego, wystawiło mu miasto posąg, który widzimy dziś w stanie zupełnie zaniedbanym na wałach hetmańskich. Dawniej był on cały złocony i stał na jednym z dziedzińców dawnego kolegium jezuickiego (dzisiejszego sądu krajowego i finansowej dyrekcji). W czasie jednak restauracji budynku tego i przekształcania go na cele dzisiejsze, zwalono pomnik i rzucono między rupiecie, gdzie walał się na podwórzu sądowem, a potem na dziedzińcu dawnego hotelu angielskiego, jako rzecz bez żadnej wartości. Dopiero Hipolit Stupnicki, redaktor „Przyjaciela domowego", zajął się

jego restauracją ze składkowych pieniędzy. Restauracja dokonaną została w pracowni kamieniarskiej Pawła Eutelego, gdzie też całą figurę hetmana w dziwaczny sposób polakierowano na zielono. W roku 1859 ustawiono posąg na wałach, które od niego otrzymały miano „hetmańskich“. Ale i tu nie zaznał hetman spokoju. Podczas regulacji Pełtwi i budowy teatru, został zupełnie zdezelowany i dziś stoi z poodbijanemi bokami, obtłuczony, jakby na urągowisko stolicy.

I dziwna rzecz! Koszt całej restauracji obliczony jest co najwyżej na dwadzieścia pięć złotych reńskich... nawet więc takiej bagatelnej kwoty nie zdołano przez lat tyle poświęcić, na restaurację cennej pamiątki!

Dopiero zbliżająca się dwusetna rocznica śmierci hetmana, przypomniała miastu posąg jego. Restauracja dokonaną zostanie bezzwłocznie, poczem, po ukończeniu budowy muzeum przemysłowego, stanie on gdzieś w pobliżu, w miejscu widocznem. I to już może będzie ostatnia wędrówka hetmana po śmierci.

Fr. Jaworski.

2)

Słowianie w Niemczech.

(DIE SLAWEN IN DEUTSCHLAND)

Napisał Dr. Franz Tetzner. — Omówił Kazimierz Mokłowski.

(FILIPONI, CZESI, MORAWIANIE, SERBOWIE).

W książce p. Tetznera nie jest zachowanym powyższy porządek. Wierny zasadzie współczesnej niemieckiej, aby, o ile możności, liczbę Polaków umniejszać, oddziela Mazurów i Kaszubów katolickich jako osobne plemiona. Czyni to samo rząd niemiecki w arkuszach spisowych, ten sam rząd, który przepastnie wprost różniące się od siebie narzecza niemieckie wiąże w jedną niemiecką wiązkę niemieckiego języka. Tymczasem przecież „plattdütsch“, jakim mówią w Meklemburg Strelitz różni się od gwary alzackiej lub monachijskiej tak, że ludność tych dzielnic odległych niemieckich wprost zupełnie się nie rozumie. Natomiast kaszubszczyzna i mazowiecka gwara tak są znamiennie polskie, że jedynie zaciekła nienawiść do Polaków pozwala narodowi „filozofów“ na tak naprawdę bezdennie głupie pomysły. Najciekawszem jednak jest to, że owe „arkusze spisowe“ w praktyce wprowadzają zamieszanie pojęć, bo ogromna liczba Kaszubów i Mazurów zapisuje się wprost jako Polacy i uniemożliwia w ten sposób Niemcom ścisłe oddzielanie tych działów plemiennych od narodu polskiego. — Nas te figle statystyczne obłąkanego hakatyzmu nie obchodzą i dlatego zestawiamy ze sobą te plemionka, które albo luźnie stoją po za Polską, jak moskiewscy sekciarze Filiponi, albo też, jak Czesi, Morawianie i Serbowie, do jednego typu plemiennego należą, łącząc natomiast Połabianów, resztkę Pomorzanów, Słowińców, Kaszubów, Mazurów i Polaków w jeden węzeł, językiem pokrewny, a historycznie kilkakrotnie w całość stapiany.

Zacznijmy od Filiponów, których zresztą znamy z osad bukowińskich. — W Prusach wschodnich wśród mazurskiej do około ludności świeci kilka kolonij rosyjskich „raskolników“, którzy, uchodząc z Rosji do Polski, zawędrowali do Prus wschodnich na początku 19 stulecia. (W r. 1828—1832). W r. 1838 odwiedził ich następca tronu. Filiponi przyjęli go entuzjastycznie, banderją konną odprowadzili, ale nie zbudowało ich zbytnio przysłowiowe skąpstwo pruskie Hohenzollernów. Następca tronu był, owacje przyjmował, cerkiewkę skromną z ikonami oglądał, ale ani jednej marki na cele nowej cerkwi nie zostawił, kiedy Moskale

liczyli na pewno, „że im jakąś sumkę da na wybudowanie cerkwi“. Ci starowiercy więc, zwolennicy Nikity, czy też Filipa Pustoświeta, którzy oddzieliwszy się w r. 1700. wyemigrowali na czele 50 mnichów z klasztoru Pomorzanów, niedaleko Białego Morza położonego, osiedli w 10 wioskach w Onufrygowie, Piaskach, Szönfeldzie, Eckertsdorfie, Fedorwaldzie, Peterhainie, Zameczku, Nikolaihorscie, Gałkowie i Kadzidłowie. Silne przywiązanie do wiary, w imię której poszli na tułactwo zachowało im odrębność języka, mimo drobnej ilości (500 dusz). W budowaniu znać wpływ Mazurów, tak bowiem, jak Mazurzy wiążą drzewo na wieniec w ściany. Rozporządzają też jednym klasztorem w Eckertsdorfie, gdzie mieści się sześć mniszek, Filiponek i jeden pop. — Opisy wnętrza rosyjskiej cerkwi, obyczajów i wierzeń, kończą rozdział o Filiponach w książce p. Tetznera. Dodać należy, że wielu z nich posługuje się już polskim językiem (mazowiecką gwarą). Z kolei o Czechach, których Frick podaje, jako mieszkających na Górnym Śląsku w liczbie 17.670 (obliczenie z r. 1890). Czesi śląscy składają się z dwóch części: pierwsza część to słabo osiadła ludność Hummelska w hrabstwie Glatz. Są oni katolikami i mają własną parafję w Czerweni i w sąsiednim Brzezowie. Ilość ich wynosi 5000. Nabożeństwo odprawia się w języku niemieckim i czeskim. Druga część, to potomkowie dawnych Husytów, którym ziemia ojczysta gościnności odmówiła, a którzy do dziś wśród polskiego, niemieckiego i czesko-katolickiego otoczenia zachowali swoją wiarę i język. — Najstarsza gmina Strusina istnieje już od r. 1466. Prócz tego znajdują się kolonje Fryderyka II. który z otwartymi rękoma przyjmował pracowitych słowiańskich przybyszów, prześladowanych przez Marję Teresę, za ich przywiązanie do Husytyzmu. Pan Tetzner jest przeciwnym łączeniu Czechów z Morawianami w jedną narodową całość (jaką z pewnością są) i polemizuje z „nierozumnem bezpodstawnem podburzaniem“, za jakie uważa broszurę Słowianina z r. 1895, w Pradze wydaną, pod tytułem: „Czesi na Śląsku Górnym pruskim“.

Słowianin żąda czeskiej pisowni nazw, a „zdaje się nie wiedzieć, że te miejscowości swój początek i podstawę zawdzięczają niemieckiej energji, niemieckim książętom, chłopom, niemieckim stosunkom“. Naturalnie, „broszura ta na Czechach górnośląskich nie zrobiła najmniejszego wrażenia“ (?). Po tym szpikulcu polemiczno-dziennikarskim, zwraca się p. Tetzner dalej do swego tematu i opisuje obyczaje i zwyczaje, dom i wieś, laskę wójtowską (kulę, krywulę), którą się zwołuje zebrania i na której obwieszcza się ogłoszenia. Pieśni i przysłowia kończą rozdział. Drugi odłam czeski, Morawianie, liczą na Śląsku Górnym pruskim 56,964 głów. Germanizacja jest stałą, lecz powolną, w czem wiele trzeba położyć na karb stykania z ludnością polską w okręgu raciborskim. O Morawianach mówi pan Tetzner, że są grzeczni i uprzejmi, lecz na twarzach mężczyzn widnieje „rys podporządkowania się“ (ein Zug der Unterordnung). Po zatem ciekawie opisuje topienie śmiertnicy w postaci lalek na wiosnę, w czasie wielkanocnym. Również oblewanie we wtorek (nie poniedziałek) wielkanocny, jest na porządku dziennym (Dienstag guss — skąd może nasze dyngus). Mieszkania są murowane wszystkie, a sztuka ludowa ograniczona na wyrobie narzędzi muzycznych. Pozostają Serbowie-Łużyczanie, jako jeden z najciekawszych ludków europejskich. — Oblani do około olbrzymią falą niemiecką, zawdzięczają istnienie swoje niegdy temu, że władcy niemieccy, wyrywając sobie bogatą słowiańską ziemię z rąk do rąk, zapomnieli o germanizacji. Mimo tego, przestrzeń zamieszkała przez nich, topnieje wciąż od r. 1550. Trzy czwarte ludu serbskiego się zgermanizowało. Prawie pod Berlin sięgające osady zniemczały zupełnie. Natomiast od południa w Saskich - Łużycach granice nie zmieniły się prawie zupełnie, co należy przypisać łagodniejszym warunkom państwowym w Saksonji i bliskości czeskiej granicy.

Dziś więc istnieją jeszcze dwie wyspy. Wyspa górno - łużycka z Chociebużem i dolno - łużycka z Budziszynem, jako stolicą. Ilość Serbów zmniejsza się wciąż, w r. 1880 było ich 100.000, w 1890 118.000, — w r. 1900 110.000. Tak powoli zanika plemię, które jeszcze w 19-stem stuleciu zdobyło się na wydawnictwo tego rodzaju, jak „Časopis serbskiej maticy“. — Serbowie stanowią dzisiaj więc chłopski narodek, dla którego istnienia największem niebezpieczeństwem jest współczesne przemysłowe przekształcenie Prus i Saksonji. Każda nowa kolej rozkłada stare wiejskie stosunki i wprowadza zagładę żywiołu serbskiego. Młodzież wyzbywa się stroju i mowy z szybkością ogromną. Mimo to, zachowało się tam tyle jeszcze w budowlach wiejskich, w całem życiu wewnętrznem

życia zachodnio-słowiańskiego typu, tyle kultury odrębnej barwnej i ciekawej, że Niemcy do dziś jeszcze jadą w okolice łużyckie, aby zobaczyć, jak wygląda resztka bajecznie kolorowego świata słowiańskiego. — Szczególnie piękne są chaty, u spodu wieńcowo, na słowiański sposób wiązane, wyżej na ryglówkę budowane, trzciną lub słomą kryte. Stroje, szczególniej kobiet, różnorodne i zajmujące, wesela huczne i sute, jak to jest zwyczaj w słowiańszczyźnie. Często ośm dni jedzą, piją i hulają. Również i prządki są jeszcze żwawo zimą przy wspólnej robocie, skrzypice, kobza i rodzaj gęśliczek o zmarniałej formie, przypominają ojczyznę i pokrewieństwo bliskie nasze z Serbami... Oto, jak wygląda ojcze-nasz w ustach najbliższych nam, a po Słowińcach jedynych jeszcze żyjących, północno-zachodnich krewniakach.

„Wotcze nasz kiž sy w njebiesach. Światoscene budź swoje mieno. Przindz k-nam Twoje kralestwo, Twoja wola so stáń, jako na njebie, tak na zemi. Nasz wszedny khleb daj nam dzens. A wodaj nam nasze winy, jako też my wodamy naszim winikam. A niewiedz nas do spytowania, ale wumož nas wot złeho. Amen“.

Bodaj z tego ojcze-naszu czytelnik polski wnosić może, jak bliskimi nawet językowo są nam ci nasi bracia.

Kaz. Mokł.

Bajka o zaśnionem wojsku.

Z dawna u nas béła ta gwara między ludziami o zaśnionem wojsku, co królowi ma skądesi na pomoc wyjechać! Ba, przecie béł taki kowal w Kościeliskach, co im chodził konie kuć. Przyseł raz wojak do niego, jużci pada: ,,myhaw nie prec w Ornaku stoimy, pudzies nam konie kuć“. — Narobił moc podków i poseł z ónym wojakiem, a hań w Ornaku, po pod skałe, kryjome miejsce, dziura do ziemie, wleźli do tej piwnice, godna tego béła przestroność, toz to moc wojska na koniak stoi, sytko zaśnione w siodłach, głowy poschylane na piersi, pojeden siedzi przy koniu na ziemi, powódki dzierzy w ręcak i śpi.

Kowal od strachu nic nie pedział, ino chodzi wartko od konia do konia, podkuł sytkie, piniędzy mu dali, co mu się patrzyło, toz to poseł — i zawarło sie za nim... A Franek Kostka ze Siziny, znałek go, dobry gazda, kowala we wsi ku niemu nie było, to mi tyz gadół, jako raz poseł, cy z chałupy do pola wyźreć, cy kany, a tu widzi na trzynestu białyk koniak jakisi wojaków. Jużci pyta: ,,a to panowie z precka?“ — Ni, pojadejom, my tutejsi, my jest wojsko polskie, nie prec z téla w Babigórze stoime, kie pora przyjdzie, królowi swemu na pomoc pudziemy“.

To zaś pote, świnia (przepytujem) tego gazdy, kansi sie straciła, jużci posła za niom dziwka i zasła do ty dziury, kany wojacy spali, każdy przy swoim koniu śpi schylony, ta zaś świnia po pod żłoby, jé ten obrok, co go konie ozsypały. Dziwka skrzyknena na niom ,,ksy, ksy!“

Toz to jeden wojak głowe dźwignon, co to burniawe robi — ba wirny mu zara nákazuje: ,,Śpij, śpij, jesce nie cas!“... Jużci dziwka od strachu uciekła, a za niom ino klupło — zawarła sie dziura.

Opowiedział *Sabała* w Zakopanem w 1888 r.

Zapisał *Bronisław Dembowski.*

KILKA SŁÓW POD ADRESEM WYDZIAŁU TOWARZYSTWA „POLSKIEJ SZTUKI STOSOWANEJ“.

Kwestji odrębności ludowej sztuki polskiej a małoruskiej i wybitnych różnic, zachodzących w Galicji n. p. pomiędzy zakopiańszczyzną z jednej, a huculszczyzną z drugiej strony, dotykano już kilkakrotnie w ostatnich czasach, kiedy to dzięki propagandzie artystycznej p. Jasieńskiego, oraz wskutek założenia Tow. „Polskiej Sztuki Stosowanej“ i otwarcia w Krakowie pierwszej wystawy tego młodego towarzystwa, coraz żywiej poczęto się u nas zajmować różnymi naszej sztuki ludowej przejawami, z której — zdaniem wielu — przyszły „styl polski“, wyjść przedewszystkiem powinien, a która w każdym razie na baczną uwagę i studjum nietylko etnografów, ale i artystów naszych i wogóle miłośników sztuki zasługuje. Różnice te są wyraźne nie tylko w szczegółach, ale i przedewszystkiem w ogólnym tych dwóch twórczości ludowych charakterze, choćby przez to samo, że kultura Rusi przeważnie bizantyńskim, nasza zaś rozmaitym wpływom zachodnim, więc romanizmowi, gotykowi, renesansowi, a wreszcie barokowi kolejno ulegała. Zrozumiałem więc jest zupełnie stanowisko ludzi, którzy do stworzenia własnemi siłami przemysłu artystyczn. p o l s k i e g o zdążają, wobec np. tak bogatych (zwłaszcza w hafciarstwie, tkactwie i ceramice) motywów małoruskich, których oni za żadną cenę niechcą mieszać z motywami polskimi, z krakowskiego, z Podhala, czy z innych dzielnic dawnej Rzeczypospolitej, zaczerpniętymi. Odstraszająco działa tu choćby przykład prof. Kovatsa, którego „twórczość“ p. Jasieński tak słusznie, jako „mieszaninę c. k. stylu zachodnio-galicyjskiego z c. k. stylem wschodnio-galicyjskim“, złośliwie scharakteryzował... Ignorować jednak zupełnie małoruskiej ludowej kultury artystycznej, o tyle przynajmniej, o ile się ona po dziś dzień w obrębie Galicji przechowała, T. P. S. S. żadną miarą nie powinno. Byłoby to stanowisko, praktycznie bardzo nieroztropne a i artystycznie nawet trochę... zaściankowe. Publikacja Szuchiewicza i bogate zbiory ludowej sztuki małoruskiej skrzętną ręką ś. p. Włodzimierza Dzieduszyckiego nagromadzone, przekonać muszą każdego, kto naocznie Galicji wschodniej i jej ludu poznać nie miał sposobności, jakie niewyczerpane skarby zdobnicze, tkwią po dziś dzień w tym ludzie, a niestety w życiu jego zwolna coraz bardziej już się zatracają. Kto wie, czy też do tej pory na tem polu już nagromadzony materjał nawet bogatszy nie jest od tego, co entuzjazm i praca członków krakowskiego Towarzystwa z obszaru całej Polski ocalić i pozbierać kiedyś zdoła. Kto wie, czy małoruska sztuka ludowa, co się tyczy różnorodności motywów zdobniczych zwłaszcza, pod niejednym względem polskiej wprost nie przewyższa!... Ale nie o to tutaj chodzi. Na razie chodzi nam przedewszystkiem o tych artystów, Rusinów czy Polaków w Galicji wschodniej urodzonych i wzrosłych, którzy z natury rzeczy najlepiej odczuwać, stosować i rozwijać będą mogli te właśnie małoruskie motywy, które od dzieciństwa ich otaczały i których charakterem oko i dusza ich przepoiły się i nasiąkły. Oni, nie znając często motywów krakowskich, śląskich czy podhalskich, nie odczuwając ich w każdym razie tak dobrze, jak tamtych, pracować w kierunku, który sobie krakowskie Towarzystwo jako wyłączny wytknęło, nie zechcą ani nie potrafią. Więc, mimo talentu i chęci najszczerszych pracowania na polu krajowego przemysłu artystycznego, albo pracy wszelkiej w tej gałęzi sztuki zaniechać będą zmuszeni — dopóty przynajmniej, dopóki we Lwowie (po zagubieniu się „Złotego Rogu“) nowe, samoistne Towarzystwo z czasem się nie wytworzy, albo też (jak tego kilka już mamy obecnie przykładów) odwrócą się zupełnie od kraju i skarbami rodzimymi pójdą wzbogacać skarbnicę sztuki obcej. *Sapienti sat.* Nie radzę zatem bynajmniej krakowskiemu Tow. Przyj. Sztuki Stos. robić bigosu i zdążać do zespalania w swej wytwórczości motywów małoruskich z polskimi, ale uważam za jego obowiązek poprostu: zerwanie z dotychczasowem stanowiskiem, Galicję wschodnią w zupełności ignorującem. Jako jedyne do tej pory w kraju Towarzystwo mające na oku interesy artystyczne i handlowe rodzącego się rodzimego przemysłu artystycznego, powinno ono zwrócić uwagę swoją i na wschód tego kraju i jeżeli z tej strony podjęte zostaną odpowiednie zabiegi, urządzać od czasu do czasu na przyszłych wystawach swoich osobny dział dla materjałów małoruskiej sztuki ludowej w Galicji i w duchu jej skomponowanych usiłowań współczesnych. Rzeczy rdzennie polskie na tem zestawianiu z pewnością nie stracą, a artyści z Galicji wschodniej, lwowscy zwłaszcza, zyskają w ten sposób silny bodziec do twórczości w tym kierunku, w którym z natury rzeczy wewnętrznie są popychani. Kto wie zresztą, czy w tem zestawieniu nieujawniłoby się może, że te różnice, w które wierzymy, nie tak bardzo znów są wybitne, częściowo przynajmniej w licznych szczegółach, i czy w małorusczyźnie wieleby się śladów polskiej kultury (ceramika kołomyjska?) nie odnalazło... Nawet ci, co walczą o polskość Rusi „w polityce“ — w sztuce zrzekają się jej zasobów zupełnie dobrowolnie! Dziwna zaiste logika. W każdym razie tego rodzaju stanowisko, jakie powyżej określiłem, uważam za obowiązek polskich artystów i miłośników sztuki, którym dobro tej dzielnicy leży na sercu. Niech tylko stanie na niem krakowskie T. P. S. S. a znajdą się z pewnością ludzie, którzy ręka w rękę z niem idąc, na wspomnianem polu pracę gorliwą, niezwłocznie i bezinteresownie rozpoczną. Czas jeszcze, by choć na tem polu Polak był mądry — przed szkodą.

Adam Cybulski.

6)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

Przechodząc obecnie do szczegółowego rozbioru warstw mieszkaniowo-kulturalnych w Europie i w Polsce, pragnę podać zarys ogólny, który u mnie będąc końcowym rezultatem żmudnych studjów, dla czytelnika stanowić będzie natomiast pewne myślowe rozłożenie całości, nieodzowne dla śledzenia całokształtu pracy. Zaznaczam jednocześnie, że podane są ninie najważniejsze wytyczne znaki — po których warstwę każdą w dziejach budownictwa i kultury od następującej odróżnić a równocześnie z następną wiązać należy.

GENEALOGJA ROZWOJOWA MIESZKAŃ W EUROPIE.

Wątek europejski.

I. Trzeciorzędowiec — człowiek ujść rzecznych (?). Broń: róg — kość. Mieszkanie: nieklecona buda z gałęzi (?). — Sztuka nieznana jak u Botokudów (może zęby i pazury nawlekane).

II. Czwartorzędowiec — Epoka lodowa. — Jaskiniowiec długogłowy. — Myśliwy — Broń, narzędzia: róg, kość i krzemień rogiem łupany, niegładzony. — Mieszkanie: grota kamienna naturalna, po niej sztuczna. Sztuka z myśliwstwa poczęta, w rogu, kości i w krzemieniu wyrażona. Początek techniki kamiennej, tej podstawy wszelkiego późniejszego budownictwa w kamieniu.

III. Alluwium, zniknięcie lodowców — tundra stepowa w Europie, potem liczne bagna. Zmiana materjału budowniczego z kamienia na drzewo, plecionkę koszową i glinę suszoną, potem paloną, stąd początek garnków. Kamień kamieniem obrabiany i gładzony. Dziedzictwem myśliwskiej epoki chów oswojonych, dawniej dzikich łownych zwierząt, zwłaszcza świni. Ślady początków rolnictwa. Płótno z lnu.

Wątek azjatycko-europejski-stepowy.

IV. Stepowcy krótkogłowi. Step — mroźna zima — gorące lato, stada koni i owiec, tkanina z wełny. Mieszkanie: namiot z pilśni. — Sztuka to wątki tkaninowe geometryczne. — Dążność ku zmianie miejsca. — Początek metalów — Miedź.

V. Stopienie wątków stepowej napływowej z palową, tubylczą osiadłą kulturą. — Bronz. Plecionka koszowa i tkaninowa w sztuce, — wpływ, bagna na formację osad stałych i na jakość urządzeń społecznych. Okres żelazny i zetknięcie się z dobą historyczną.

VI. Ziemianka — kosz — opuszczenie mieszkań palowych — przeniesienie się z pomostów palowych na ziemię — wypalanie ścian glinianych — ztąd początek cegły i majoliki wraz z budownictwem murowanem w cegle — rolnictwo — chów bydła — sztuka: plecionka koszowa i skórzana (patrz sztuka staroceltycka i normańska).

VII. Las w Europie: Drzewo jako wyłączny materjał. — Różnice w traktowaniu jego zawarte w przyrodniczem otoczeniu i w historycznych warunkach rozwojowych. Oparcie o palowe mieszkanie. — Znaczenie drzewa i roślin w sztuce i w kulcie.

VIII. Znikanie lasów. — Zwrot do kamienia i cegły. — Odrodzenie muru kamiennego i ceglanego, czyli wejście do dziejów sztuki wyrażonej w formach stylów t. z. historycznych.

Według Nüescha, który poczynił obliczenia dotyczące w Szwajcarji, gdzie z uwarstwowień geologicznych dość łatwo było odczytać czas prawdopodobny trwania warstw kulturalnych — przypada na okres lodowy około 100.000 lat. Przejście od okresu lodowego do tundry 12.000 lat. — Okres stepowy i tundrowy (gładzonego kamienia) 8.000 lat. Okres palowy, względnie cały neolityczny wraz z kulturą miedzi, bronzu i żelaza 4.000 lat. Od końca neolitycznego czasu (historyczna epoka) po dzisiejszy dzień 4.000 lat. (Zeitschrift für Etnologie XXIX. ver. 86).

ROZDZIAŁ III.
MYŚLIWY — JASKINIOWIEC EUROPEJSKI.

Dając w poprzednim rozdziale ogólnie pomyślany szkic rozwoju przedhistorycznej Europy, miałem na celu uczynienie ram ogólnych, w które

później pomieścić będzie można poszczególne działy w badaniach. Obecnie rozpoczynam szereg ustępów poświęconych szczegółowym badaniom od najstarszej warstwy kulturalnej, której ślad wyraźny nauka na światło dzienne wydobyła.

Warstwą ową jest omawiana już nieco kultura jaskiniowca europejskiego, o której wspomnieliśmy w poprzednich rozdziałach. Nim jednak skierujemy uwagę na przedmiot niniejszy należy się czytelnikom naukowe wyjaśnienie, dlaczego tak odległy okres, „niewypełnioną przepaścią“ przedzielony od kultury człowieka alluwialnych czasów uważamy za konieczne ogniwo, bez którego łańcuch dziejów mieszkań ludowych nie miał by swego myślowego początku. Wmięszamy się przez to nieco w spór naukowy, który rozgorzawszy między lingwistami a antropologami rozdzielił świat naukowy na dwa obozy. Pierwszy, a zarazem starszy i silniejszy, wychodzi z zasadniczego pokrewieństwa, wiążącego spółczesne języki indoeuropejskie z irańskim i sankryckim i w ten sposób przyjmując istnienie w odległej przeszłości pnia wspólnego dla Arjów europejskich i azjatyckich, szukał kolebki naszej, współczesnej kultury w Azji (Schrader). Odłam antropologów (Penka - Wilser), opierając się na ścisłym związku, jaki istnieje pomiędzy długogłowcem jaskiniowym we Francji a współczesną rasą długogłowców-blondynów północno-europejskich wnosi (Penka), że współczesna rasa Europejczyków jest tubylczą, i sięga swoim początkiem panowania epoki lodowej. Ze stanowiska antropologicznego nie jest natomiast rozwiązana sprawa istnienia krótkogłowców brunetów, którzy siedząc wzdłuż pasm górskich środkowej Europy, są tak typowem zjawiskiem.

Już w szkicu poprzednim, powtórzyliśmy twierdzenie wybitnie naukowych imion, jakoby ci krótkogłowcy przedstawiali napływowy ze wschodu żywioł, gdzie do dziś krótkogłowiec jest olbrzymio przeważającem zjawiskiem. Zmięszanie tych żywiołów rasowych, których obrazem jest ludzkość europejska, wysuwa jednak całą siłą swego dokonania sprawę pokrewieństwa języków indogermańskich. Istnieje mianowicie trudność odczynienia tych wpływów językowych, jakie pra-europejczyk długogłowy niewątpliwie zostawił, ale w tak jednolitym stopie, że wszelkie oddzielenie należnego jemu pierwiastku ze współczesnej plątaniny języków indo-europejskich, jest na razie niemożliwe, zwłaszcza wobec panującej u językoznawców dążności wywodzenia z jednolitego pnia językowego wszelkich dzisiejszych odrębności (Schmidt). Tem milej mi jest więc powołać się na jedną z otwartszych głów, za jaką uważam H. Hirta w niniejszym przedmiocie. — H. Hirt przyjmując wyniki badań antropologicznych, przyznaje, „że Europa przed najściem Indo-germanów, nie mogła być pustynną i bezludną, ale, że od niepamiętnych czasów jeszcze przed lodową epoką, w pierwszym okresie kamiennym, istniało liczne osiadłe zaludnienie. A jeśli dalsze istnienie tych ludzi, nieda się na pewno udowodnić, to jednak uczy antropologja (nauka o człowieku i jego rasach), że dzisiejsza ludność europejska nie należy do jednolitej rasy, za jaką ze względu na rodzinę językową w ogólnym zarysie musi być uważaną“. — Różnice rasowe świadczyły dalej, że tubylcza europejska ludność nie została wypartą, lecz jedynie przez zwycięzców pobitą, etc. etc.

Uwzględniając dalej warunki klimatyczne, niekorzystne dla aklimatyzujących się dopiero zaborców, przychodzi do przekonania, że śladów tubylczej ludności, nie należy szukać w brzmieniach językowych, ale w wymowie, w barwie językowej niejako. Zupełnie słusznie wskazuje na języki romańskie, jako na taki objaw przesycenia mowy obcemi naleciałościami, wziętemi od silniejszego w kulturze żywiołu łacińsko-rzymskiego. Mimo to nikt na tej podstawie języków romańskich od wspólnego pnia wywodzić nie będzie, wiedząc, że powstały one jako wytwór zmięszania się Iberyjsko- lub Celtycko-romańskich pierwiastków. Hirt przypuszcza dalej, że dawniej to podstawianie pod tubylczą wymowę obcego języka działo się tem dobitniej, i że wielkie grupy narzeczowe tłumaczą się głównie przeniesieniem języka indogermańskich zdobywców na obcojęzyczną podbitą ludność i na wpływ jej na dzieci zaborców (przez niańki)“. (H. Hirt. Die Verwandschaftverhältnisse der Indogermanen. Indogerman. Forschungen IV. 40, 41, 42).

Kazimierz Mokłowski.

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

— Hm! nie wiem, nie zdają mi się dla panien stosowne. Mam najnowsze francuzkie powieści,

— Eh! takie tam książki. Myślałam, że przywieziesz nam jakieś nowości, coś Zycha, coś Wyspiańskiego...

Ale znów o tych autorach Ignaś wcale nie słyszał.

Zgorszyło to niezmiernie siostrę, która spojrzała na niego zdziwionemi oczyma i odtąd przyglądała mu się bacznie, jakby nieufnie.

Stary Jan, rozpakowując kufry Ignasia, dziwił się także. Była tam taka liczba garniturów rozmaitego kroju i koloru, że szafa pomieścić ich nie mogła. Cały pokój Ignasia zapełnił się mnóstwem wykwintnych drobiazgów, toaletowych przyborów, pachnideł, które uczyniły go podobnym do gabinetu strojnisi.

Tryb życia jego różnił się też bardzo od tego, jaki prowadzono w Malińcach. Przy rannem śniadaniu pani Teresa próżno wyglądała syna. Zapytała o niego, ale Jan oświadczył, że panicz nie kazał do siebie wchodzić dopóki nie zadzwoni.

Zadzwonił dopiero około dziesiątej i kazał sobie do łóżka przynieść czekolady.

Jan przyszedł z tem zawiadomieniem. Czekolady w domu nie było. Pani Teresa poszła sama do syna. Tłumaczyła się, że jego nowych gustów nie znała i pytała czem czekoladę zastąpić.

— Wiesz mamo, że u nas dom bardzo źle utrzymany — odparł Ignaś. — Całe nasze kółko pija rano czekoladę. No, ale skoro niema, napiję się herbaty, każ mi do niej podać jaja na miękko i parę plasterków szynki.

Około południa dopiero Ignaś w białym flanelowym komplecie ukazał się na dziedzińcu folwarcznym.

Dzień był wietrzny. Po niebie przebiegały co chwila ciężkie chmury, deszczem nabrzmiałe i leciały ku wschodowi, jakby goniły swoje poprzedniczki, uciekając same przed temi, co nadciągały z zachodu.

W gumnach robota wrzała, warczała młocarnia, przygotowywano zboże do siewu. Woły rycząc, wracały z pługami, przez wierzeje otwartych stodół widać było zapchane sąsieki. Wszędzie widać było obfitość i wesele, jakie towarzyszy jej zwykle. Radowało się wszystko, co żyło. Konie i woły, pędzone do stajni, skubały po drodze słomę wraz z kłosami. Gromady pstrych gołębi i szarych wróbli, unosiły się w powietrzu, polując na ziarna, rozsypane po ziemi, wpadały pomiędzy czeredy kur, które, czując się panami położenia nie dopuszczały skrzydlatej rzeszy, ale musiały ustępować przed oddziałem kaczek, kroczących w szeregu. Wszystko, co żyło, zdawało się korzystać z darów Bożych.

Berwicz tylko co zsiadł, naradzał się nad czemś z Maksymem, nad niepewną pogodą. Do rady wmieszał się drugi gumienny, Orkowski, który właśnie szedł ze spichrza, nawet Hryć, wyprzęgając swoje konie.

Wszyscy rozprawiali, patrzyli na chmury, a Berwicz tak był zajęty, że nie dostrzegł Ignasia, przypatrującego się od chwili w milczeniu ruchowi folwarcznemu.

— Dzień dobry, panie Berwicz, — odezwał się wreszcie, podchodząc.

Dawniej, tak jak matka i siostry, nazywał go wprost Berwiczem, teraz jednak przyszedł do przekonania, że podobna poufałość była rzeczą niestosowną. Coby na to powiedział baron Rońskí, hrabia Brylewicz lub, którykolwiek z jego nowych przyjaciół.

Berwicz o mało nie odezwał się po dawnemu serdecznemi: „Dzień dobry Ignasiu", ale powstrzymał się w porę i odparł.

— Dzień dobry panu. Możebyśmy konno objechali pola. Pierwsze żyta już wschodzą, pszenice dopiero siejemy. Śliczna rola. Dzięki Bogu, jest się czem pochwalić.

— Dziękuję, musiałbym się przebierać, — odparł niedbale Ignaś, — a potem czy to u nas jest się czem chwalić?

Berwicz skamieniał na razie.

— Jakto, czyż jest! — zawołał po chwili do żywego dotknięty. — Przecież rokrocznie zwiększa się produkcja. Niech pan Ignacy przejrzy rejestra, albo się mamy zapyta.

— A cóż mama? Kobiety się na gospodarstwie nie znają.

— Pani Teresa! Pani Teresa zna się więcej od najlepszego agronoma, — mówił stary z najwyższem oburzeniem. — Wszyscy o tem wiedzą, wszyscy naśladują nasze gospodarstwo. Daj Boże, by wszędzie tak się rodziło, jak u nas. Niech tylko pan Ignacy pojedzie w pole, a sam się przekona.

— Baron Roński wcale mi nie chwalił tutejszej orki.

— Baron Roński! co? on? on nigdy nie ma takich zbóż, jak my. On włóczy się tylko po świecie, po Moskwach, Petersburgach i Bóg wie gdzie. Myśli o polowaniach, wyścigach, a u niego Niemiec gospodaruje po łacinie. I może cały majątek przegospodaruje.

— W tych stronach podobno, panie Berwicz, gospodarstwa zacofane tak, jak ludzie, jak pojęcia, jak wszystko. Baron Roński powtarza to także nieustannie.

Ile razy Berwicz usłyszał, że Ignaś go nazywał panem, doświadczał takiego uczucia, jakby go kto ukłuł w samo serce. Ten Ignaś przecież dawniej, jak matka, jak siostry mówił mu: Berwiś i kochał, jak one: Ki djabli przemienili go, czy co — powtarzał sobie w myśli, tak zasmucony, że przestał zważać na to co mówił, dotknięty jego urzędowym tonem.

Co prawda, już w ostatnich latach dostrzegał w Ignasiu pewne zmiany. Ale wówczas Ignaś był jakby gościem w domu, przyjeżdżał z kolegami, wnosił ruch i zamęt, on zaś sam cały zajęty był gospodarstwem. Widzieli się zaledwie w przelocie, więc jeśli nawet Ignaś nazwał go panem, sądził, że stało się to przez pomyłkę albo z powodu obcych, którzy nie mogli wiedzieć, jakie węzły łączyły go z domem Morskich.

Nie przyszło mu nigdy na myśl, by on mógł się odmienić tak zupełnie. Pamiętał przecież Ignasia, który, jak Jadzieńka, rzucał mu się wprost na szyję i kręcił się przy nim ciągle. Siadał z nim na bryczkę, towarzyszył konno, biegł w pole, do lasu, a wypytywał się, słuchał, wyciągał na opowiadania przeszłości.

Kiedy zaś Berwicz wpadł na owe czasy, kiedy to o głodzie i chłodzie z Brzeszczem wojowali z Moskalami, chłopcu oczy błyszczały, pierś podnosiła się zapałem i szeptał: „Czemu ja tam nie byłem“.

Nieraz gdy przestał opowiadać, chłopiec prosił: „Mów jeszcze Berwisiu“.

Jakże dziś nie miał patrzeć z bolesnem zdziwieniem na Ignasia! Prawda, od tego czasu ubiegło lat dziesiątek. Ale widząc jego sztywne obejście, słysząc mierzone wyrazy, jakże nie miał pytać samego siebie, co mogło spowodować tak zupełną zmianę? Bo zmieniła się nawet jego powierzchowność. Rysy się zatarły i podobieństwo do ojca stało się mniej wyraźne. Ludzi, o których Ignaś wspominał nieustannie, Berwicz nie znał, a co ważniejsza, nie miał o nich dobrej opinji. W kraju i okolicy nie było o nich słychać, żyli jakby cudzoziemcy, przypadkowo osiedli w Polsce, wdawali się z Moskalami, nie brali udziału w rzeczach, obchodzących ogół. Cóż wspólnego być mogło pomiędzy Ignasiem a nimi?

Pani Teresa naturalnie znać ich nie chciała. Żyła zresztą zamknięta, miała w domu tyle zajęć, światem dla niej były Malińce. Wyjeżdżała tylko niekiedy z musu do krewnych lub sąsiadów, których znała od dawna. Rońscy, choć sąsiedzi, do takich nie należeli. Oburzała się na ich postępowanie i unikała z nimi stosunków.

Mówiono jej nieraz, że, mając córki, nie powinna tak klasztornego życia prowadzić, ale zmienić je, było rzeczą nad jej siły. Układała jednak z Berwiczem, że gdy Ignaś powróci, będzie musiała zbliżyć się do ludzi, bo Maryni czas już wybrać męża. Brat powinien sprowadzić do domu towarzyszów, złączonych z nim sercem i myślą, a wśród nich znajdzie się zapewne przyszły, jakiego dla Maryni pragnęła.

Berwicz z Ignasiem byli jeszcze przed stodołami, gdy nadbiegła Jadwisia, by przypomnieć bratu, że obiecał nauczyć ją jeździć konno.

— A masz amazonkę — zapytał?

Berwicz zdziwił się, że nie pytał naprzód o konia.

— Nie mam, — odparła Jadwinia bez namysłu, — ale cóż to znaczy, wezmę spodnicę mamy albo Maryni.

— Panny — wyrzekł sentencjonalnie Ignaś — muszą koniecznie jeździć w odpowiednim stroju. Masz ochotę być tem, co świat nazywa *a sport wooman* to bardzo naturalne, trzeba tylko, aby mama, amazonkę i wszystkie przybory sprowadziła ci z Warszawy.

Jadwinia parsknęła śmiechem.

— Ja, *a sport wooman*. Cóż znowu?

— Nie śmiej się z tego, czego nie rozumiesz. Sport jest dziś rzeczą modną, najwykwintniejsze panny nim się zajmują.

— Cóż mnie to obchodzi. Nie jestem wykwintną panną.

— Nie jesteś jeszcze, ma się rozumieć, ale z czasem zostać powinnaś. Uważam, że tutaj zbyt mało zwracacie uwagi na powierzchowność, na modę, wreszcie na wykwint, który powinien być udziałem ludzi pewnej sfery.

Trzeba przyznać, że ta piękna przemowa Ignasia była zupełnie stracona. Jadwinia, zamiast jej słuchać, skinęła na stajennego i kazała wyprowadzić gniadą klacz, z białą strzałką na czole, w której oddawna upatrzyła przyszłą wierzchówkę.

— Patrz, moja Wiśnia — zawołała — czy nie ładne stworzenie, a jakie łaskawe i niczego się nie stracha. Berwiś dawno powiedział, że, jak wrócisz, będę na niej jeździć.

— Tylko ostrożnie Jadzienko, zawsza ostrożnie.

— Ostrożnie, zawsze ostrożnie Berwisiu — przedrzeźniała go, wspinając się na palcach, by starego pogłaskać po twarzy. — Nie bój się. Widzisz, z Ignasia zrobił się taki sensat, że aż strach. Nie pozwoli na żadne warjactwo, a może nawet każe mi jechać stępa.

Stajenny tymczasem przyniósł kobiece siodło i zaczął wkładać je na Wiśnię.

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Impresje*, Henryk Zbierzchowski. Jest to pierwszy zbiorek poety, który dotąd w kilku pismach tylko figurował z kilkunastu drobnymi utworami. Już wtenczas znać było w p. Zbierzchowskim, obok częstego dziś zresztą wirtuozowstwa formy, duszę bardzo wrażliwą, szczególnie pod względem muzyczno-malarskim. W tych wierszach, w których maluje nastroje pejsażowe, jest on najszczerszy i najwięcej posiada wdzięku. Jest w nich usiłowanie wydobycia tych drgnień duszy, które powstają z wzajemnego oddziaływania na siebie widza i widzianej przezeń natury. Natomiast, ilekroć puszcza się p. Zbierzchowski na uogólnienia myślowe, jest albo naśladowniczym, albo niejasnym i przesadnym. W takich wierszach, albo wierząc ślepo swoim mistrzom, przerabia tylko ich myśli, albo doszukuje bardzo wyspekulowanych obrazów, albo gubi się w wizjonerstwie. Rzadko tylko jak w „Modlitwie do duszy“ wyrwie mu się jakiś szczerszy dźwięk, z którego poznać można, że nim naprawdę wstrząsnęło spojrzenie we własne życie i niezadowolenie z widoku. Zresztą tomik można przeczytać z przyjemnością. Niepotrzebnie dodał doń p. Zbierzchowski dwa szkice prozą: o malarzu Truszu i o muzyku Griegu. Pisane okazyjnie mogły mieć znaczenie, ale tak są to tylko dwie próbki, podkładania znaczeń, pod gotowe już wyrazy artystyczne, próbki nieszczególnie fortunne, a przedewszystkiem bardzo dowolne, jakich mogłoby być tysiąc innych. Lepiej to widzieć i słyszeć. *S. W.*

*

Rocznik krakowski. Pod redakcją Dra Stanisława Krzyżanowskiego. Kraków 1902. — „Towarzystwo miłośników historji i zabytków Krakowa“, które założono w r. 1897, liczy obecnie przeszło pięciuset członków i znaczne już zasługi na obranem przez siebie polu położyło (towarzystwo urządza stale zebrania, odczyty i wycieczki artystyczne po Krakowie i jego okolicach, gromadzi zabytki pamiątkowe, wystawia je i publikuje, a prócz „Rocznika“ wydaje 20 już tomów obejmującą, popularną „Bibliotekę krakowską“), wydało świeżo piąty już z rzędu tom swojej prawdziwie monumentalnej publikacji, który wytwornie, w formacie *in quarto* wydany, a ozdobiony 67 rycinami w cynkotypji, jednym planem Krakowa (z r. 1702) i pięcioma tablicami w światłodruku, niezmiernie bogato i zajmująco się przedstawia. Na wstępie p. St. Tomkowicz, w pełnym ciepła artykule, omawia działalność pierwszego prezesa towarzystwa, a jednej z najtypowszych, rdzennie krakowskich postaci, — ś. p. Władysława Łuszczkiewicza, jego znaczenie i zasługi, jako malarza, profesora, uczonego, popularyzatora wiedzy i miłośnika starego Krakowa. Z pod pióra p. Tomkowicza wyszedł również i końcowy artykuł konserwatorski, o śladach dawnego uniwersytetu na Kaźmierzu. W dalszym ciągu p. A. Chmiel daje nowy przyczynek z cyklu swoich badań nad genealogją i heraldyką mieszczaństwa krakowskiego, a p. W. Bąkowski porusza ważną dla topografji i pierwotnej historji miasta kwestję biegu rzek krakowskich, a w szczególności Wisły, dowodząc, że koryto starej Wisły, było korytem sztucznem. Nieznany a wielce ciekawy obraz dawnej kultury i sztuki daje p. J. Pagaczewski, opisując dawne Jasełka, pamiętające siostrę Kaźmierza W., w klasztorze św. Andrzeja przechowywane. Wreszcie spotykamy w tym tomie nazwiska dwu autorów lwowskich, p. Wł. Łozińskiego, zasłużonego estety i historyka Lwowa, oraz p. A. Czołowskiego, dyrektora lwowskiego archiwum miejskiego. Pierwszy daje barwne studjum z historji obyczajów patrycjatu mieszczańskiego, w którem Kraków wiąże się ze Lwowem p. t. „Proces o pannę“, rzecz zaczerpniętą z aktów sądowych, której treść: zakończone procesem, niefortunne konkury młodego lwowianina Hepnera, o córkę „sławetnego“ kupca krakowskiego Bryknera, nadają się wprost na temat do komedji historyczno obyczajowej z życia mieszczaństwa lwowsko-krakowskiego

z XVII. w., podczas gdy drugi, w artykule p. t. „Zabytki krakowskie w Szwecji“, daje nam wiadomość o przedmiotach różnych, zwłaszcza o działach polskich, niegdyś w r. 1704 przez Karola XII. z Krakowa wywiezionych. Tom kończy sprawozdanie wydziału za rok 1901, wykazujące znaczny w ostatnim roku rozwój tego towarzystwa, które sobie cel tak piękny, a tak drogi każdemu sercu polskiemu wytknęło. *A. C.*

*

Nowe społeczeństwa anglo-saksońskie przez Piotra Leroy-Beaulieu (Bibl. dzieł wyborowych). W dwu tomikach obraz społeczeństwa australskiego i nowozelandzkiego. Antypody, do niedawnych jeszcze czasów krainy przez dzikie ludy zamieszkałe, stały się w krótkim czasie najważniejszemi kolonjami Anglji, jej spichrzem, a obecnie wytworzyły społeczeństwa nowe, ekonomicznie bardzo silne. W przeciągu lat kilkudziesięciu przewyższyły te kraje pod każdym względem Europę. Deportacja kajdaniarzy, emigracja rolnicza, gorączka złota, a wreszcie wielki przemysł i kilkumiljardowa roczna produkcja, oto etapy tego rozwoju. W formie przystępnej, choć czysto naukowej, omawia autor podwaliny tych najmłodszych na kuli ziemskiej społeczeństw, ich stosunki ekonomiczne, społeczne i polityczne. Bez żadnych tradycji i przyzwyczajeń, stanowią te społeczeństwa niejako laboratorjum polityczne całego świata, najnowsze teorje w tej chwili tam czynem się stają i dlatego też te nowe anglo-saksońskie kolonje dla ekonomisty i polityka stanowią idealny typ przeobrażeń i ewolucji, którym ludzkość dzisiejsza ulega. *Fr. Jaw.*

PISMA. *Głos*. Wśród licznych prac, jakie ten naukowo-literacki tygodnik warszawski przynosi, dbając zawsze o to, żeby być aktualnym we wszystkich sprawach życia nauki i sztuki, znajdujemy teraz krótką sylwetkę działalności poetyckiej Marji Konopnickiej, pióra Andrzeja Niemojewskiego. Jest to jędrne i bardzo plastyczne ujęcie znaczenia Konopnickiej dla współczesnej literatury. Oto najcharakterystyczniejszy ustęp, w którym się skupia to znaczenie:

„...Nie sztuka porwać ludzi, kiedy wszystkie serca są do tego przygotowane, kiedy wszyscy czekają pieśni i kiedy artysta czarodziejską laską swoją uderza w skałę, w której jest uwięziony zdrój, ale wtedy, kiedy się całe pokolenie od poezji odwraca, kiedy z owych skał wyciekły wszystkie zdroje, kiedy się o poezji i poetach niemal pogardliwie mówi a ich działalność za nieszkodliwą igraszkę dziecięcego umysłu uważa.

W takiej dobie zagrzmieć pieśnią, zmusić współczesnych do jej wysłuchania, zmusić ich do szacunku i do przyznania, że ta poezja jest tak potrzebna i tak ważna jak rzeczywistość i jej chleb, lub może ważniejsza, że ta pieśń to nie pieszczota osłabiająca krzepkość ducha, ale jakaś pobudka, jakiś ożywczy grom, jakiś nawet niepospolitej wagi czyn społeczny — to nam powiada, że Konopnicka musiała wypromieniować z siebie bez porównania więcej energji, zapału, wiary i natchnienia, niż poeci innych, szczęśliwszych okresów.

...To żyje tylko, co żyć ma siłę — woła Konopnicka. Wygłasza to w tak dziwny sposób, iż nagle całe zastępy czują w sobie krzepkość, czują w sobie siłę, czują, iż poetka obudziła w nich to, co drzemało snem śmierci równym, że przecież w tej skamieniałej piersi naszej były gdzieś głęboko ukryte źródła, które na jej skinienie uniosły się z głębin i trysnęły nowemi szlakami, nowemi łożyskami myśli, uczuć, dążeń, idei. Nowe formy bytu znalazły w poetce nowy a właściwy swój wyraz. Przeto współczesność musiała nietylko uznać tę poetkę, ale i pójść za nią“.

Porównaniem poezji Konopnickiej z poezją Asnyka i innych współczesnych, kończy się sylweta p. Andrzeja Niemojewskiego, stanowiąc niejako piękną introdukcję do wielkiego oratorjum uznania, jakie czeka w tym roku znakomitą poetkę, z okazji dwudziestopięciolecia jej pisarskiego zawodu.

*

Poradnik językowy. Numer trzeci, drugiego rocznika tego przez prof. Zawilińskiego w Krakowie wydawanego miesięcznika, którego działalność wszyscy, rozwój i czystość języka polskiego na sercu mający, z prawdziwem śledzić powinni zainteresowaniem, przynosi na wstępie zajmujący artykuł prof. Czubka p. t. „O apercepcji językowej“, w którym autor pomiędzy innymi przykładami przytacza prawdopodobne pochodzenie nazwiska M i c k i e w i c z. Więc drogą apercepcyi: M i c k - i e w i c z, M i c k, M i c - e - k, M i k, M i k o ł a j dochodzi do hypotezy, że Mickowie, była to rodzina pierwotnie i od początku polska, szaraczki siedzące, gdzieś na mazowieckich piaskach, którzy szukając chleba, przenieśli się później (może z Dobrzyńskimi?) na Litwę, gdzie ich według miejscowego zwyczaju przezwano Mickiewiczami. W dalszym ciągu następuje dokończenie ciekawego listu prof. Brücknera z Berlina w sprawie różnych poprzednio w „Poradniku“ poruszonych kwestji. Numer uzupełniają zwykłe rubryki: „Zapytania i odpowiedzi“, „Skarbonka“ i „Krotochwile językowe“ z kilkoma wybornymi językowymi „kwiatkami“. *A. C.*

SZTUKA. *Józef Pankiewicz*. Bezpośrednio po numerze Kamieńskiego, dał „Tygodnik illustr.“ zeszyt, poświęcony Pankiewiczowi, a to z powodu świeżo w salonie Towarzystwa Zachęty urządzonej wystawy zbiorowej, dzieł tego niepospolitego artysty, którego niewielką ilościowo produkcję, zwłaszcza jako jednego z nielicznych naszych akwaforcistów, znawcy zawsze bardzo wysoko cenili. W przeciwieństwie do Kamieńskiego jest Pankiewicz przedewszystkiem malarzem, robiącym dla oczu i obracającym się w świecie wrażeń wzrokowych, w efektach tonów, barwy i światła. P. Feliks Jabłczyński w artykule wstępnym, w krótkich słowach charakteryzuje wybornie tę twórczość, która wyrabiając się początkowo pod wpływem A. Gierymskiego i Moneta, dziś zupełnie samodzielna, do pewnego stopnia nawet swojska, za treść główną tak w obrazie olejnym, jak w akwaforcie, w pejzażu i w portrecie zarówno, ma przedewszystkiem ś w i a t ł o — i w sposób ogromnie subtelny, swój temperament liryczny, różnemi światłocieniowemi kombinacjami dyskretnie wyraża. Jak Kamieński, jako poeta

stał się dopiero malarzem — tak odwrotnie Pankiewicz jest poetą, dlatego, że jest „*par excellence*“ malarzem w istotnem tego słowa znaczeniu. We wspomnianym zeszycie przynosi „Tygodnik“ kilka dobrych reprodukcji z obrazów olejnych Pankiewicza, jak „Targ za żelazną bramą“, „Nokturn“, „Portret dzieci“, i znany „Portret damy z dzieckiem“, oraz z kilku jego ślicznych akwafort, jak „Portret własny“, „Portret matki“, „Barbarka“, „Ulica w Sienie“ i t. p. — Stanowczo zdaje się, że na Krakowskiem Przedmieściu na serjo myśleć zaczynają... i o sztuce. *A. C.*

NOTATKI. *Uczczenie pamięci Ignacego Domejki.* W dniu 23. stycznia b. r. odsłonięto uroczyście pomnik dla naszego sławnego rodaka na cmentarzu, w Santiago de Chile. Pomnik ten wznosi się nad grobowcem, do którego przeniesiono zwłoki uczonego.

Opis uroczystości i pomnika podaliśmy niedawno w „Kurjerze Lwowskim“ według dziennika chilijskiego *El Mercurio,* wychodzącego w Valparaiso. — Obecnie mamy przed sobą chilijski tygodnik ilustrowany p. t. *La lira chilena* (Nr. 5 z 2. lutego 1902), w którym znajdujemy kilka ilustracyj, odnoszących się do ś. p. Ignacego Domejki i jego życiorys, skreślony w artykule wstępnym. Ryciny przynoszą portret Domejki z lat ostatnich, podobiznę jego i jego małżonki z czasów dawniejszych, wreszcie reprodukcję pomnika i alei cmentarnej, w której nasz rodak spoczywa.

La lira chilena podnosi, podobnie jak *El Mercurio,* że wzniesienie pomnika sławnemu uczonemu polskiemu, którego dzieła polecono wydać na koszt kraju, jest aktem wdzięczności narodowej dla człowieka, który poświęcił większą część swego życia na badanie kraju chilijskiego.

Z żywota Domejki przytacza *La lira chilena* następujące szczegóły.

„Ś. p. Domejko, jak wszyscy ludzie wyżsi — powiada tygodnik amerykański — napotkał w początkach swojej karjery szereg przeszkód, które im trudniejsze są do pokonania, tem więcej dodają blasku niespożytym geniuszom. Tak ziarno pod ziemią schowane pięknie wywykwita, a w największej ciemności, najświetniej płonie blask pochodni.

Domejko, urodzony na Litwie, w pierwszych latach ubiegłego stulecia, po otrzymaniu początków wykształcenia w kraju rodzinnym, udał się do Wiednia, Tu uzupełniwszy studja, otrzymał tytuł doktora filozofji. — Jako gorący patrjota, nie mógł nie wziąć udziału w ruchach rewolucyjnych, które w roku 1830 zwiastowały Polsce jutrzenkę wolności i wyzwolenia. Potem udał się na emigrację, zwiedził Alzację, następnie bawił w Paryżu, poświęcając się naukom przyrodniczym. Wkrótce jednak opuścił Europę i przybył do Chili, gdzie otrzymał posadę profesora chemji i fizyki, w jednym z największych zakładów naukowych w La Serena.

Tu wydał pierwszą swoją książkę p. t. „Tratado de ensayes“, poświęconą studjom mineralogicznym, z praktycznem zastosowaniem do krajowego przemysłu. Niezadługo wyszła druga jego praca p. t. „Elementos de mineralogia“.

W r. 1856 przeniósł się do Santiago, gdzie objął wykład chemji i fizyki w „Instytucie narodowym“ i w uniwersytecie. W r. 1863 zaliczono go w poczet członków uniwersytetu na wydziale matematyczno-fizycznym. W r. 1862 wziął żywy udział w ruchu literackim, współpracując w *El Semanario de Santiago.* W r. 1865 pojawiła się jego praca z dziedziny krajoznawstwa, p. t. „La Araucania i sus habitantes“. Mianowany rektorem Uniwersytetu w r. 1876 ogłoszał różne studja naukowe w pismach *El Araucano* i *Anales de la Universidad* a nadto w *Los Anales de Minas.* Dalsze jego prace są: „Memoria sobre la Instruccion Universitaria“, „Jeolojia i jeometria Subterranea“, „Viaje de cuarto meses“, „Escursion a las cordilleras de Copiapo“, „Constitucion jeolojia de Chile“.

W r. 1884 podjął celem wytchnienia podróż do swej ojczyzny i do Europy, i zwiedził stolice starego świata od r. 1885 do 1888 r., w którym powrócił do Chile dnia 18. listopada. Z Polski przywiózł z sobą woreczek ziemi ojczystej. Podczas pobytu w Europie napisał dzieło, zatytułowane: „Jeolojia de Chile“. Z powrotem do Chili zajmował się klasyfikacją minerałów, złożonych na wystawie narodowej w r. 1888 — w celu wysłania ich na wystawę światową w Paryżu. Zmarł w Santiago 23 stycznia 1889.

Tak więc zmarły uczony służył naszemu narodowi, powiada pismo amerykańskie, aż do ostatniego tchnienia życia. „To też nasza ojczyzna z pietyzmem przechowa jego zwłoki i otoczy jego grobowiec taką czcią, jaką otaczałaby go jego własna ojczyzna, Polska — a ten woreczek ziemi z kraju rodzinnego, przywieziony umyślnie, aby mu służył do snu wieczystego, niechaj ożywi bujne kwiecie na jego mogile, by od tej mogiły wzniosła się woń wolności, niejako wiecznie trwający protest przeciw mordercom ojczyzny, protest usymbolizowany w żywocie tego wielkiego człowieka.

*

W chwili, gdy sroży się brutalna przemoc prusaka, czyż takie słowa, wypowiedziane na drugiej półkuli świata, nie świadczą, że Polska żyje w pamięci ludów?

S. M.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8